

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.



OJA PIOSENKA.

Za wiosenką miłą, za wiosenką złotą
Spoglądałem ci ja z serdeczną tęsknotą,
Aż minęła zima, słonko zaświeciło
I wnet się na świecie wszystko odmieniło.
Odmieniło cudnie, ot! i trawka rośnie,
A w mem sercu błogo i jakoś radośnie.
Płynie rzeczki wstęga przez łąki zielone,
Serce się raduje, w którą spojrzeć stronę;
Już w świeżą sukienkę gaj się przyodziewa,
Balsamiczne wonie wiatr w okół rozwiewa.
Rozwiewa dokoła i mile twarz pieści,
Bo o czarach wiosny przynosi nam wieści.
Skowronek, ten ptaszek Najświętszej Panienki,
Już w górze wydzwania swe srebrne piosenki:
— Czas w pole, czas zorać te szare zagony,
I rzucić weń ziarno na stokrotne plony,
Na stokrotne plony, na chleba dostatek,
Żeby głód nie zająrzył do ojcowych chatek.

Z nadzieją ja rzucam do ziemi te ziarna,
Że praca wiosenna nie będzie mi marna.
Słoneczko dogrzeje, deszcz ciepły je zrosi,
Bo o łaski Nieba człek pokornie prosi.
Oj! prosi pokornie Boga Wszechmocnego,
Który zawdy wspiera rolnika pilnego.
Jako dni wiosenne, tak ni młodość płynie
Niech z pożytkiem równym i ona też minie,
Więc trzeba mi w sercu posiać piękne cnoty
Aby w dalszym życiu plon wydały złoty,
Plon wydały złoty w czynach sprawiedliwych,
Bym jesienią dożył dni cichych, szczęśliwych.
Oj, dolaż najmiłsza! oj, dolaż wybrana,
Rolnika, co sługą Wszechmocnego Pana!
Bo Pana świątynią jest kraj ten uroczy,
Wszystko hołd Mu niesie, na co spojrzą oczy —
Wszystko hołd Mu niesie, a człek się raduje,
Że się bliższyn Boga pośród pól tych czuje.

M. D.

ZOFIA BUKOWIECKA.

Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

Poczty.

(Dalszy ciąg)

— Teraz rozumiem, dla czego służąca mamy na liście szwagra do Brazylii nakleiła taką samą markę, jaką tatuś nakleja, pisząc do Berlina.

— Tak, mój Michasiu, bo Brazylią należy także do Wszechświatowego Związku pocztowego, a związek ten obsługuje już w tej chwili około miliarda ludzi. Olbrzymia cyfra, nieprawdaż? Bo też poczty to jak wielka armia, cała oddana na usługi świata. Same Niemcy na przykład posiadają 70,000 urzędników pocztowych, ale też poczta w Niemczech, dzięki zwłaszcza reformom niedawno zmarłego ministra Stephana, za wzór wszystkim innym służyć może; nie ma tu małej i tak zapadłej wioszczyny nawet w Alpach bawarskich, gdzieby nie było skrzynki pocztowej i nie zachodził przynajmniej raz na dzień listonosz z torbą, z której rozdaje gazety i listy. I ma co rozdawać, bo tam wszyscy pisać umieją i wszyscy czytają gazety. Obliczono, że przeciętny Anglik wysyła rocznie 31 listów, Niemiec 12, Francuz 8, a u nas, niestety, tak mało, że rachować wstyd, bo wstydem jest mieć wśród siebie tylu niepiśmiennych ludzi.

Zawiązanie Wszechświatowego Związku Pocztowego, wprowadzone przez niego ułatwienia i dogodności, wpłynęły niezmiernie na rozwój korespondencji pocztowej, tak, iż pomimo znacznego obniżenia taksy, dochody z poczt ogromnie się powiększyły, dając rządowi możność wprowadzania coraz większych udogodnień, a co najważniejsza, zakładania jak największej ilości biur pocztowych.

Zauważono też, że pod wpływem rozwoju środków komunikacyjnych i daleko częstszego przenoszenia się z miejsca na miejsce zmienił się, że tak powiem, charakter korespondencji między ludźmi. O ile dawniej pisano do siebie rzadko — bardzo długie listy, niemal pamiątki i dzienniki, w których pomniejszano nie tylko wiadomości o najbliższych i o sprawach osobistych ale wieści o całym mieście lub okolicy, o tyle w ostatnich czasach z rozwojem prasy peryodycznej, listy zrobiły się krótsze lecz daleko częstsze. Okoliczność ta podała profesorowi politechniki wiedeńskiej Hermanowi w 1869 r. myśl wprowadzenia tak zwanej karty pocztowej nie zaklejanej, kosztującej znacznie mniej, niż list zwyczajny z kopertą, a dość dużej, aby na niej kilkanaście wierszy napisać było można.

Karty pocztowe zyskały wszędzie prawo obywatelstwa, obecnie powszechnie je używają. W ostatnich latach umieszczają na nich ładne winiety, widoki piękniejszych okolic lub gmachów, portrety znakomitych ludzi i t. p. tak, iż stanowią rodzaj dzieła sztuki i służyć mogą za małą pamiątkę. Widzieliście już pewno nieraz takie karty z widokami Warszawy, portretem Mickiewicza, a ja przed paru tygodniami otrzymałam kilkanaście kart pocztowych, wydanych przez nakładców wydawnictwa „Kraj w obrazach” z małemi a bardzo wyraźnemi widokami różnych ciekawszych lub piękniejszych miejscowości kraju.

Wraz z olbrzymim wzrostem korespondencji, powiększyła się we wszystkich państwach ilość urzędników pocztowych, podwyższono im pensje i zwrócono uwagę na stopień ich wykształcenia. Jest to rzeczą bardzo naturalną, gdyż od umiejętności, uwagi i wprawy tych urzędników zależy w znacznej mierze prawidłowe przesyłanie poczty.

To też obecnie listy dochodzą nieraz swego przeznaczenia pomimo, że adresy kładzione na nich są wprost zabawne. Odebrano raz na pocztę w Paryżu list zaadresowany: „Do mojego syna w Paryżu.” Może sądzicie, że

list ten przepadł? Wcale nie. Urzędnik schował go starannie, a w kilka dni zjawił się na pocztę chłopczyzna, który nieśmiało zapytał: „Czy nie ma tu listu od mego taty.” Był to właśnie, jak sprawdzono, syn, do którego ojciec tak naiwnie list zaadresował. Innym znów razem przyszedł do Anglii list zatytułowany: „Dla pani w Liwerpolu, która chodzi z dwoma pieskami,” i list ten doszedł swego przeznaczenia.

Zdarzały się także listy z rozrzucającym adresem: „Do Pana Boga w niebie,” tych naturalnie nie doreczono, ale pewnie Pan Bóg szczerą prośbę wysłuchał i bez listu.

Poszanowanie tajemnicy listu, stało się także ogólnym prawem. Wiem, że nikt z was młodzi czytelnicy nie przeczytałby bez upoważnienia żadnego cudzego listu, jestem tego pewna, bo brak delikatności jest wielką i brzydka wadą, ale nienużalność listów, jest obecnie nawet przez prawodawstwo ustanowioną. Rzeczpospolita francuska jeszcze przed 100 laty surowe za otwieranie cudzego listu nakładała kary, słusznie też brzydzimy się ludźmi, którzy dla jakich bądź powodów otwierają cudze listy, bez dobrowolnego przyzwolenia ich właściciela.

Ale wracając do poczt, zaznaczyć muszę, że we wszystkich krajach starają się ciągle ulepszać je i zakres ich działalności rozszerzać. W niektórych krajach, zwłaszcza w Niemczech i Francji, istnieją biura pocztowe nawet po wsiach, gdzie zwykle nauczyciel wiejski jest jednocześnie urzędnikiem pocztowym, a skrzynkę przybijają do drzwi wiejskiej szkoły. W wielkich miastach oprócz zwykłych poczt używają jeszcze dla przesyłania korespondencji wiejskiej rur podziemnych. Zowią to pocztą pneumatyczną, gdyż paczki z listami popychane są w rurach siłą zgęszczanego powietrza.

W Ameryce mają bardzo szybki a oryginalny sposób oddawania pakietów z listami do przebiegających pociągów. Przy linii kolejnej roztawieni są słudzy pocztowi, na wysokich słupach każdy z nich trzyma torbę z listami swojej wsi. Pociąg pędzący nie zatrzymuje się, bo to opóźniałoby jego bieg, wysuwają tylko z wagonu pocztowego siatkę na kij, podobną do tej, w jaką chwytacie motyle. Listonosz stojący na słupie wrzuca w siatkę swą torbę, a w zamian z pociągu odrzucają mu tę, która mieści listy przeznaczone dla jego okolicy. (ryc. str. 120).

— Z wagonu pocztowego? Alboż są dla poczty wydzielone wagony?

Rozśmiałam się z miny Michasia. Ach, bo też Janek tyle razy jeździł koleją, a nie wie o tem, że przy pociągu są osobne wagony zawierające biura pocztowe. Prawda, że u nas jest ich mało, za granicą poczta chodzi przy każdym pociągu, i jest to bardzo wygodne urządzenie. Gdyż urzędnik w czasie biegu pociągu, ma czas uporządkować listy, żeby oddać je na właściwej stacji i publiczność z każdego pociągu odbiera listy lub pisma. Ale nie dość na tem. Ileż to usług oddaje dziś ta sama poczta, która do niedawna była tak niedołężnie prowadzona. Zastępuje np. banki, wydając tak zwane przekazy pocztowe...

— Wiem, wiem, dziadzio zawsze mamie na imieniny przysyła przekaz na pocztę i mama odbiera na Wareckim placu pieniądze.

— Dobrze, Janku, a mama znów nieraz zapewne wysyła sprawunki dziadzi, nie potrzebując płacić za nie gotówką w sklepach, zastąpi ją w tem poczta, której dziadzia zwróci należność w Radomiu przy odbieraniu posyłki.

Wszystkie te udoskonalenia wprowadził wiek XIX, słusznie też pocztę uważać można za instytucję powstałą w ostatnich czasach. Posłańcy średniowieczni obsługujący panów, byli niczem innem jak sługami zobowiązanymi dogadzać żądaniom swych chlebobawców. Poczta dzisiaj to wielka instytucja społeczna, która też bez różnicy służy wszystkim. Jest wielką i to bardzo wielką panią, czego dowodem, że i ona ma niewolnice, które ją znakomicie, stale i szybko obsługują.

(d. c. n.)

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Uliczki z rynku, jak nogi pająka, rozchodziły się w różne strony, patrząc na naszego podróżnego czarną, niemą pustką, z której nic nie mógł rozpoznać.

Powoli turkot oddalającego się wozu ucichł, a Janek szedł na oślep i myślał sobie:

— Ha, co Bóg da, to będzie, zawsze gdzieś zajdę... jeno ta noc.

Wtem ciemne niebo rozdarło się zygzakowatą błyskawicą, w dali zahuczał grom ponury, ciężki, zakończony nagłym hukiem, który wstrząsając całym przestworzem, przstraszył błędzącego wśród ciemności Niewdźyda.

— A Słowo stało się Ciałem! — zawołał i przypadł twarzą do ziemi.

Lecz nagle uczuł, że nie padł na gołą ziemię, lecz na jakiś spory, twardy przedmiot.

W pierwszej chwili przestachu i trwogi nie zdawał sobie nawet sprawy, co to być mogło. W dali huczało wciąż głuchym gromem, błyskawice rozdierały obłoki, a Niewdźyd wśród najwyższej trwogi leżał twarzą do ziemi, modląc się, aby go Bóg od piorunów ratował.

Gdy jednak niebo się uspokoiło i tylko wielkie krople deszczu spadały jak łzy na spragnioną ochłody ziemię, Niewdźyd ochłonął nieco z przestachu i uczuł ów przedmiot, na którym leżał.

Pomacał rękami i przekonał się, że to był spory, skórzany worek, napełniony płaskimi, przylegającymi do siebie niewielkimi blaszkami.

— Pieniądze! — a chybi pieniądze! — zawołał, podnosząc się i dźwigając worek.

Na razie ucieszył się bardzo, po chwili jednak rzucił worek z niechęcią i rzekł sam do siebie:

— Przecie ich nie wezmę, toć to nie moje!

— Nabiłem sobie o nie guza i tyle! — myślał dalej, i rozcierając sobie łokieć, który silnie odarł ze skóry, upadając na chropawy worek, czy też kamień leżący obok.

— Zeby nie ten worek, byłbym już kawał drogi ubiegał — myślał znowu, zapomniawszy, iż ze strachu przed burzą przypadł twarzą do ziemi. Tymczasem spadło jeszcze nieco wielkich kropel deszczu na odkrytą głowę młodzieńca, co mu przypominało, że zgubił kapelusz.

Zaczął więc go szukać po omacku, lecz zamiast na kapelusz trafił wciąż na worek.

— Czy nasłanie jakie, czy co! — myślał znów sobie — gdzie dotknę, to mi się ten przeklęty worek wciąż ślania!

— Choćby go wziąć!... toć jakby sam Pan Bóg zesłał skarb na mojej drodze... Ba, i co mi po pieniądzach... toć one mnie na wojnę nie poprowadzą, ani też przez nie urzędu nie dostanę. A i matusia mówili: „Pamiętaj synku, nie wyciągaj nigdy ręki po cudze, a własną pracą dorabiaj się chleba.” Ot i znów, zamiast na kapelusz natrafiłem na worek... Tfu! siła nieczysta!... I co to matusia jeszcze mówili?... jał sobie przypominać, macając wciąż po ziemi.

— Aha, mówili jeszcze:

„Pamiętaj też sobie, że jakbyś dotknął cudzego grosza, to nie tylko grzechyś ciężki popełnił przed Bogiem, ale straciłbyś wszelką uczciwość, a i swoje szlachectwo do cna pokalał.”

— Czy ja też aby nie zgubiłem papierów, co mi je matusia zostawili i kazali strzedz, jak oka w głowie i jak uczciwości...

— Uczciwości... — powtórzył na cały głos, aż wśród ciszy nocnej głos jego odbił się echem w przestworzu i poprocił do jego uszu.

Upewnił się jednak, że papiery na mocnej, konopnej pletni ma zawieszone w woreczku na piersiach.

— Och, toć to matusia chyba tam z za świata tak głośno krzyknęła — pomyślał znowu, nie zdając sobie sprawy, że to on sam ten wyraz tak głośno wymówił.

— A to ci ciemno, ani weź znaleźć kapelusza! jeno ten worek przeklęty...

Serce mu dziwnie zakolało, a i wicher zadał złowrogo, przesuwając się pomiędzy rzadko stojącymi domami i sypiąc mu w oczy śmiecią i piaskiem.

— Ciemno... niktby nie widział, przez myśl mu przepłynęło. I jednocześnie natrafił na kapelusz przyciśnięty nieco workiem.

— Ha, mam cię nareszcie — zawołał, unosząc potężny trzos i wydostając przyciśnięty nim do połowy zgnieciony kapelusz.

I nagle pechany jakąś nieprzepartą siłą zarzucił trzos na plecy, wsadził pomiędzy kapelusz tak głęboko, że mu prawie wpadł do połowy czoła i począł biedz tak szybko, jakby go kto gonił. Nie czuł ani walających się kamieni, ani kałuż w które raz po raz wpadał, tylko biegł, zapomniawszy zupełnie o radach Kundy i skręcaniu na prawo lub lewo, przez wąskie i ciemne uliczki miasteczka.

Przez ten czas chmury powoli się rozeszły, na modrem błękitnie niebios wyskakiwały jedna po drugiej gwiazdy, zaśniały niezliczone ich miliardy i wychylił się wielki pyzaty księżyc.

Migotliwy blask niebieskich światel olśnił biegnącego wciąż bez pamięci Niewdźyda; stanął bez tchu prawie, serce biło mu jak młotem, pot kroplisty spływał mu z czoła.

— Co to jest, gdzie ja jestem? — zawołał.

Rozejrzał się dokoła.

Był w polu, za miastem. Złuday blask księżyca oblał białem światłem całą przestrzeń dokoła i zdawało mu się, że wśród tego światła ujrzał jakieś ciemne postacie, które rosnać coraz to wyżej, wskazywały nań wielkimi, długimi palcami; otworzył oczy szeroko, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co się z nim dzieje, aż wśród owych postaci zdawało mu się, iż wyrasta jedna wyższa nad inne... poznał w niej twarz zmarłej matki, zalaną łzami i patrzącą nań z niewypowiedzianą boleścią i smutkiem.

— Matko, matko kochana! — zawołał i wyciągnął ku niej dłonie.

Wtem uczuł, że z pleców spada mu jakiś ciężar.

Przypomniał sobie wtedy trzos z pieniędzmi, wstrząsnął się cały i krzyknął:

— Boże mój, Boże, com ja zrobił!

Potem począł uciekać z tego miejsca bez pamięci, zostawiając skarb w szerokim, pustym polu.

Po chwili opamiętał się. Stanął i spojrzał przed siebie.

Księżyc jak dawniej patrzył spokojnie, gwiazdy migały hen, tam wysoko, cisza była dokoła.

Nie było też owych strasznych postaci wskazujących nań długimi palcami, ni oblicza zażawionego matki, tylko księżyc rozlewał srebrne swe światło, wśród którego majaczyły ciemne cienie krzaków, zarośli i jakiegoś domu, stojącego samotnie w polu, w którego maleńkich oknach migotało słabe światło. Niewdźyd odetchnął swobodniej.

— W imię Ojca i Syna, dzięki ci o Boże, żeś mię wybawił od tego nieszczęsnego trzosa, który zapewne zło na mnie nasłało — westchnął pobożnie.

Wtem zdawało mu się, że słyszy zdala dochodzące głosy ludzkie, coś jakby przekleństwa i nawoływanie. Spojrzał na lewo, skąd dochodziły głosy i wsłuchiwał się pilnie.

Po chwili głosy stawały się coraz wyraźniejsze i z głębi jakiejś wąskiej uliczki, ukazało się kilku ludzi przyświecających sobie pochodniami i szukających czegoś pilnie dokoła.

Złote, dymiące płomienie pochodni oblewały złowrogim blaskiem schylających się ludzi, którzy wśród srebrnej,

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY”

opisał H. C.

(Dalszy ciąg).

księżycowej nocy, wydali się naszemu podróżnemu jak złe duchy idące wprost ku niemu, ażeby za jego chęć zabrania trzosa, do ciemnych czeluści, jak swoją własność zagrabić. Padł więc na kolana i coraz goręcej począł się modlić, wzywając opieki Nieba i ukochanej matysi.

Tymczasem głosy dochodziły go coraz wyraźniej a ludzie zbliżali się ku niemu.

— W imię Ojca, Syna i Ducha świętego. Odstąpcie duchy nieczyste! — krzyczał, wyciągając przed siebie rękę, czyniąc znak krzyża świętego.

Przypomniawszy sobie bowiem, że jedna szlachcianka w Niewdźdowej Woli, zawsze tak mówiła, ilekroć wypędzała z nawiedzanych czarta.

— Czego wrzeszczysz, odmienne jakiś! — wrzasnął jeden z przybyłych, dość już niemłody i pokaźnie ubrany jegomość, a drugi zaświecił mu tuż w oczy pochodnią.

— Nie jestem żadnym odmieniec, jeno wiernym chrześcijaninem — odwrzasnął, biorąc na odwagę Jasiek, odsuwając się od przybyłych.

— To czego się drzesz, toć i my nie żadne pogany ani heretyki — rzekł jeden.

A ten starszy zapytał groźnie:

— Co tu robisz po nocy?

— Idę do pana starosty szreńskiego, co pono na przedmieściu raział się ze swoim dworem...

— Ty obdartusie jakiś, co masz za sprawę do jaśnie wielmożnego starosty? — zawołał jegomość.

A drugi wypasiony tak, że mu się aż policzki wśród ciemności świeciły, zawołał z całego gardła:

— Przybłędo jakiś, jak śmiesz tak sobie mówić o jaśnie wielmożnym staroście, jak o równym sobie.

I w kark go ręką uderzył.

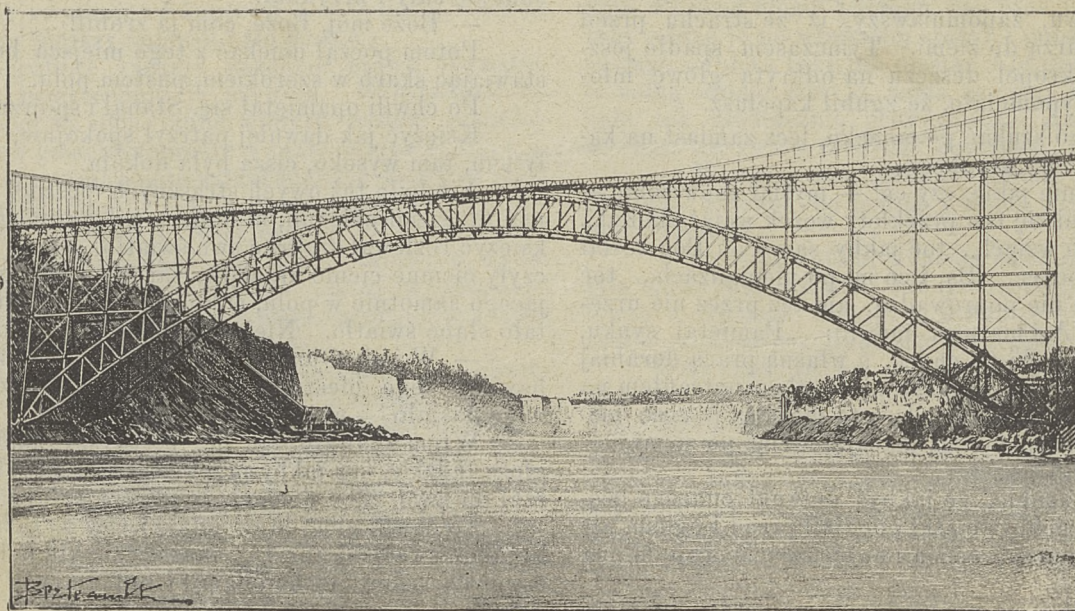
Lecz nim się napastnik opatrzył, Niewdźd oddał mu tak silnie, że ten padł jak długi na ziemię.

Jasiek zaś stanawszy w butnej postawie, zawołał:

— Jestem szlachcic urodzony i ponieważ się nikomu nie pozwolę.

— Co to za krzyki waszmość tam wyrabiacie! — ozwał się głos jakiś surowo, i stanął człek młodszy znacznie, między poprzednio przybyłymi. Pachołcy z nim przybyli trzymali się zdala, napastnik powalony na ziemię wyprostował się jak struna, nie dając nawet poznać o swojej przygodzie, nawet ów starszy jegomość wraz z innymi zamilkł, jakby im kto mazią usta zasmarował.

(d. c. n.)



Nowy most kolejowy na Niagarze (str. 120).



Z obrazu J. Chelmińskiego.

Powrót Napoleona z pod Berezyny.

Życie i wojny Napoleona nie tylko historykom i poetom, ale i malarzom dostarczają wciąż wątku do rozmaitych obrazów i rysunków. W roku zeszłym, opisując otwartą w Warszawie we wrześniu wielką panoramę „Berezyny”, podaliśmy krótki rys odwrotu Napoleona z Moskwy. Obecna rycina jest jakby dalszym ciągiem scen tam przedstawionych. Widzimy tu, jak cesarz Francuzów, przeprawivszy się szczęśliwie przez zdradziecką rzekę, jedzie sankami, otoczony częścią pozostałych pułków do Smorgoni, skąd później sam już z licznym tylko orszakiem popędził przez Wilno i Warszawę do Paryża.

chwili na „Latającą Rybę,” szukali wzrokiem ciała profesora, które leżało w śniegu o sto stóp pod nimi.

— Przynajmniej Bóg łaskaw, że zabił się odrazu — wyszeptał baronet, drżącemi ze wzruszenia usty.

— Może żyje jeszcze — rzekł pułkownik — śnieg miękki od słońca, a wysokość nie tak znowu bardzo straszna. Dzielny człowiek! Panowie — dodał — teraz prawdziwie ciężka czeka nas przeprawa. Jesteśmy prawie u szczytu najwyższej góry na świecie; między nami i resztą ludzi — przepaść, gdzie dotąd nikt nie zaglądał; urwiska, po których nikt się nie spuszczał; ale my zejdziemy z pomocą Bożą, zejdziemy wraz z tym biednym przyjacielem, który może żyje jeszcze; tylko trzymajmy się ostro, wyteżmy wszystkie siły naszego ducha, mózgu i mięśni!

Ostatnia próba.

Słowa pułkownika dodały energii towarzyszom.

— Masz rację — rzekł baronet — musimy skupić całą przytomność naszego umysłu i sprężystość naszych członków. Szczęściem, mamy tornistry, naładowane żywnością; starczy nam jej na dni kilka. — Mildmay, stojący pośrodku, zwolna obrócił się twarzą do ściany skalnej.

— Wydobądźcie — rzekł — z mego tornistra butelkę wina, chleb i szynkę. Musimy koniecznie coś zjeść, choćby dla uspokojenia wzburzonych nerwów. Potem naradzimy się, co dalej czynić.

Pokrzepiwszy się nieco, szczegółowo obejrzelі wszystko do koła. Niewesołem było ich położenie. Przedewszystkiem stało się niewątpliwem, że z miejsca, na którym stali, o dalszem schodzeniu w dół marzyć nawet nie mogli. Nie mogło też być mowy o natychmiastowem dostaniu się do profesora. Trzeba było szukać innego wyjścia. Zniechęceni postanowili iść nazad t. j. w kierunku zachodnim.

Pułkownik tym razem, prowadził pochód, Mildmay niósł drabinkę i w ten sposób doszli do miejsca, gdzie poprzednio raz wypoczywali, a stamtąd odnajdując na skale ślady nóg swoich, zamierzali powrócić na małą płaszczyznę, u szczytu góry i na nowo próbować schodzenia inną stroną. Przedsięwzięcie to jednak było nader trudnem i niebezpiecznem, zmrok zapadał i należało się spieszyć, aby przed nocą znaleźć pewniejszy i obszerniejszy punkt oparcia. Właśnie pod sobą spostrzegli większą nieco płaszczyznę gdzieby się pomieścić mogli w postawie leżącej, ale skała była prawie prostopadła i gdzieś tam tylko były występy i szczeliny.

— Słuchajcie — rzekł Mildmay — niema się co wahać!

— Trzymając się rękami krawędzi tego występu skały, spuszcze się na dół tak, aby zawisnąć na rękach, wówczas ty baronecie wejdiesz mi na ramiona i posługując się mojem ciałem niby drabiną, albo raczej liną, dosięgniesz szerszego występu skalnego. Stanąwszy na nim, podtrzymasz mnie z kolei, abym nie stoczył się w przepaść, a jeśli w ten sposób oba wydostaniemy się szczęśliwie, wtedy użyjemy całej naszej siły, aby pochwycić pułkownika, który ku nam zeskoczy z góry. Co mówicie na ten projekt?

— Karkołomny, ale cóż robić — rzekł baronet — w ten sposób prędzej dostaniemy się na tę płaszczyznę i może zbliżymy się do profesora. Aby ci tylko sił starczyło!

— Niema wyboru — rzekł pułkownik. — Ty, baronecie, i Mildmay bierzecie na siebie najtrudniejszą część zadania, sądzę, że odwagi do skoku mi nie zabraknie.

— Probujmy więc szczęścia zaraz — zawołał Mildmay stanowczo.

— Zgoda; jestem już gotów — zawołał baronet.

— Stój mocno, Elphinstone, abym przy spuszczeniu się ze skały mógł się chwilowo trzymać twojej nogi. Byłobyśmy nie znaleźli się tylko na dole prędzej, niżeli tego sobie życzymy. Teraz, bacząc, już schodzę.

Baronet stanął, o ile mógł najmocniej wygiął się w tył, a naprzód wysunął kolano, Mildmay trzymając za

nie zsuwał się ostrożnie na dół, póki obu rękoma nie zawisł na odłamie skalnym. Wtedy nie tracąc ani chwili czasu, baronet przyczołgał się do krawędzi skały, postawił jedną nogę na jednym, drugą, na drugim ramieniu Mildmay'a, rękoma chwycił występ i przyklęknął na ramionach towarzysza, poczem zalecując mu, aby trzymał się mocno, zaczął ostrożnie, lecz jak mógł najprędzej spuszczać się po jego ciele, póki nie uchwycił go za nogi.

Muskuły rąk biednego Mildmay'a drżały i mało nie pękły od gwałtownego naprężenia, ale zaciął zęby, pamiętając, że życie jego własne i towarzysza zawisło od jego wytrzymałości, i wisiał nieporuszony jak drag żelazny. Nie trwało to zresztą długo. Baronet spojrział na dół i skończył na płaszczyźnie będącą pod jego nogami. Tu oparłszy plecy o ścianę kamienną, zawołał na porucznika, aby spuścił się na dół z kolei. Rozkaz ten aż nadto spiesźnie był wykonany, wyczerpane mięśnie Mildmay'a odmówiły już posłuszeństwa, zeszytywniałe ręce nie mogły dłużej utrzymać ciężaru ciała, palce rozwierały się mimowoli i czuł, że w każdym razie spaść już musi. Na wezwanie baroneta puścił się skały, a pochwycony w silne ramiona przyjaciela, po chwili stał już bezpiecznie na płaszczyźnie. Teraz przyszła kolej na pułkownika, który miał wykonać skok największy, ale w ramiona dwóch towarzyszy. Zsunął nogi ze skały, i choć mu się wydało, że zleci w przepaść na śmierć niechybną, skoczył i szczęśliwie pochwycony został przez baroneta i porucznika.

Rozejrzawszy się dokoła, przekonali się, iż płaszczyzna, na której stali, pokryta lodem tworzyła część podstawy, do której przytwierdzona była rano „Latająca Ryba.”

Nieszczęśliwi podróżni zamierzali zatrzymać się tu kilka minut dla chwilowego chociaż wypoczynku, ale lód po niedawnem oberwaniu się tak był kruchy, że nie przedstawiał żadnej rękojmi bezpieczeństwa, musieli więc pociągnąć dalej. Szczęściem śnieg odpadając wraz z lodem odsłonił w tem miejscu ściany góry skalistej, a jej chropowatość ułatwiła im dalsze schodzenie. W taki sposób, zwolna i ostrożnie stawiając krok za krokiem, zeszli jakieś sto stóp na dół, gdy naraz Mildmay, który szedł przodem, ujrzał, że spadzistość po której postępowali, kończyła się w odległości paru stóp zaledwie prostopadłą ścianą bezdennej przepaści. Krzyk jego mimowolny przestrzegł idących za nim towarzyszy, on zaś trzymał się rozpaczliwie rękami i nogami nieznacznych nierówności, bo najlżejsze poślizgnięcie, lub chwilowy zawrót głowy groził mu upadkiem w otchłań. Z przerażenia porucznik nie był w stanie dać odpowiedzi na niespokojne dopytywanie się pułkownika.

(d. n.)

F. Oseka.

PIERŚCIEN CZARODZIEJSKI.

(Dalszy ciąg).

Zbójcy. Prowadź! Pójdziemy wszyscy za tobą.

Madej. Zostawiam sobie tylko okup za jeńców, reszta do was należy. Dalej towarzysze! Zbierzcie się wszyscy, zwołajcie tych, których brakuje. Ruszmy razem, obsaczy my pałac cały, żywa dusza nam się nie wymknie.

Zbójcy. Prowadź wodzu, prowadź!

Madej. Tu w pobliżu jest chatka oddanego mi drwala, tam przyprowadźmy jeńców. A z Żeliszawem co się dzieje?

Zbójca. Siedzi w lochach; nie kazałeś go zabijać.

Madej. Po tej wyprawie skończymy z nim. Cicho i śmiało za mną, towarzysze, niema czasu do stracenia! (wychodzą).

(rozjaśnia się). **Chór.**

Już miesiąc wypływa na ciemne sklepienie,
I kłębią się ciężkie obłoki...
Na leśne gęstwiny wysła promienie
Pas światła, srebrzysty, szeroki.

My, duchy z góry
Patrzymy, słuchając,
Lekkiemi się pióry
Na ziemię spuszczać.
Czekajmy, co zdarzą tu losy...
Zamilczmy, już ludzkie brzmia głosy.

SCENA 2.

Królewicz, drwalowa (wchodzą, rozmawiając).

Królewicz. I nie wiecie, kto jest ta piękna pani?

Drwalowa. Nic wiem, jasny rycerzu. Nieraz jak wśród drzew mignie biała sukienka i świeży wianuszek, myślę, że jasne słońko zstępuje do mojej chaty. Taka dobra, miła pani. Dzieci w nią patrzą jak w obrazek, a jak zacznie ślicznie mówić, to i człowiekowi lżej i raźniej na duszy się zrobi, że aż zapomina o wszystkich swoich zgryzotach i kłopotach.

Królewicz. Dokąd odchodzi? skąd przybywa?

Drwalowa. Czy ja tam wiem, jasny rycerzu. Widzi, że mąż nie dobrego, że bieda w chacie, to przychodzi użalić się i pocieszyć. Patrząc na nią, myślę sobie: chyba królewna ze złotego pałacu, a jak zacznie dzieci piosenką do snu kołysać, to znów zdaje się, że to chyba wieśniaczka, jak i my, i między biednymi się chowała, kiedy tak biedę rozumie.

Królewicz. Dawno ją znacie?

Drwalowa. Lat kilka. Kiedy was przyprowadziła toście byli biali, jak giezło. No, ale jakoś szczęśliwie siły prędko wróciły. Przykazała mi pilnować was, ja też pilnowałam jak oka w głowie. Mój stary gdzieś poszedł i przepadł, strach mnie przejmuję, czy go gdzie wilki nie zjadły. Czy są w lesie wilki, rycerzu?

Królewicz. Nic wiem, myślę, że ich chyba niema.

Drwalowa. Niema? a no to i dobrze, to się już trochę uspokoiła. Ale ja tu gawędzę, a roboty mam huk.. Nie potrzeba wam czego, rycerzu.

Królewicz. Nie, dziękuję.

Drwalowa. Nie? a no to i dobrze, to już pójdę. (oddała się).

SCENA 3.

Królewicz (sam).

Królewicz. Dziwne się dzieją rzeczy... Zasnawszy w lesie miałem paść ofiarą tajemniczej zbrodni, wyrwała mi śmierci jakaś biała dziewczina. Kto na mnie napadł? czy to zbój jaki, czy mam ukrytych wrogów, o których nie wiem? Nikogo nie skrzywdziłem. Czyżby się ukomili na mój pierścień i płaszcz. Co się stało z moim szlakiem, gdzie jest Żeliszaw? Teraz, gdy już do sił wróciłem, myślę udać się do Drahomira i żądać sprawiedliwości. Choćby nie awierzył, że mój królewicz, pomocy skrzywdzonemu rycerzowi nie odmówi. Lecz nie będę już jego łagodził, wdzięczny obraz nieznajomej zbyt głęboko utkwiał w mej pamięci. Pewnie córka jakiego leśnika lub rolnika, ale serce musi mieć równie piękne, jak postać. O gdybym mógł ujrzeć... (zamysła się).

SCENA 3.

Królewicz, Konda (zbierając zioła).

Konda. Wiele ziół na skrytą moc,
Wiele kwiatów tajny dar,
Swoim płaszczem kryje noc
Zakłęk czar.

Nim po zmroku błysnie dzień,
Już napój będzie gotowy,
Nim wieczorny padnie cień
Na słońca blask purpurowy,
Czary podziałają skrycie
I zagaśnie jedno życie.

(Konda wychodzi, z drugiej strony nudchodzi drwal).

SCENA 4.

Królewicz i drwal.

Drwal. Jeśli człowiek zaśnie wesół, to pewnie zbudzi się markotny. Oj, będzie też żona na mnie wrzeszczała! A czegoś pił, a znowuś się upił. Jak nie miałem się upić, kiedy ten zbójca dał mi takiego licha, że od pierwszego łyku w głowie się zawróciło. Bodaj to z godnymi ludźmi kompanię trzymać i drudzy szanują i człek sam szwanku nie poniesie. Może i to mi się sniło, że mi wróżki pierścień zesłały, dobre wróżki. (szuka w zanadrzu). A jest i świeci się nie przymierzając jak łożówka, dyamencisko wielkie niby orzech, zaraz się kolbista udobrucha. Tylko, że znowu uwierzyć nie zechce, że on mi z nieba spadł...

Królewicz (chwytając go za kołnierz). A ty skąd masz ten pierścień?

Drwal (przerażony). Rety! Ratujcie, nieboszczyk ożył!

Królewicz (trzymając go). A kto go zabił, łotrze? skąd masz ten pierścień?

Drwal (wydzierając się). Upiór czy strach, puszczaj!

Królewicz (wyrzuca mu pierścień). Mój własny pierścień z brylantem (kładzie go). Traf oddał mi w ręce zbrodniarza, ten niezbyt dowód winy odkrywa tajemnicę. Wyznasz teraz, zbójco, rzecz całą i wydasz swoich współników. A przedewszystkiem, co się stało z oddziałem moim, z Żeliszawem.

Drwal (szamocząc się). Ja nie nie wiem, ja nie nie powiem. Ten pierścień dały mi wróżki, a wino herszt zbójców, pewnie kolega waćpana. Trzyma jak żelaznemi kleszczami! ratujcie ludzi, ja nie nie winien.

Królewicz. Sąd to rozstrzygnie (dobywa miecza). Gdzie Żeliszaw? Taki mię niepokój o niego przejmuję, że pragnąłbym za cenę kilku lat życia ujrzeć go zdrowego na czcile mego oddziału. Przyznaj się wielu was było? (drwal krzyczy).

SCENA 5.

Drwal, królewicz, Wanda.

Wanda. Co za krzyk słyszeć, jakaś bójka...

Królewicz. Moja piękna nieznajoma (puszcza drwala).

Drwal. Moja najjaśniejsza pani, wyratuj mnie, ten zbójca, chce mówić, ten wielmożny rycerz, dusi mnie za to, że go zabiło; kiedy ja się kłnę na moją duszę, że on był już nieżywy kiedy nadszedłem. Jasna pani, królowo moja, ratuj!

Wanda. Czego chcesz od tego biedaka, rycerzu?

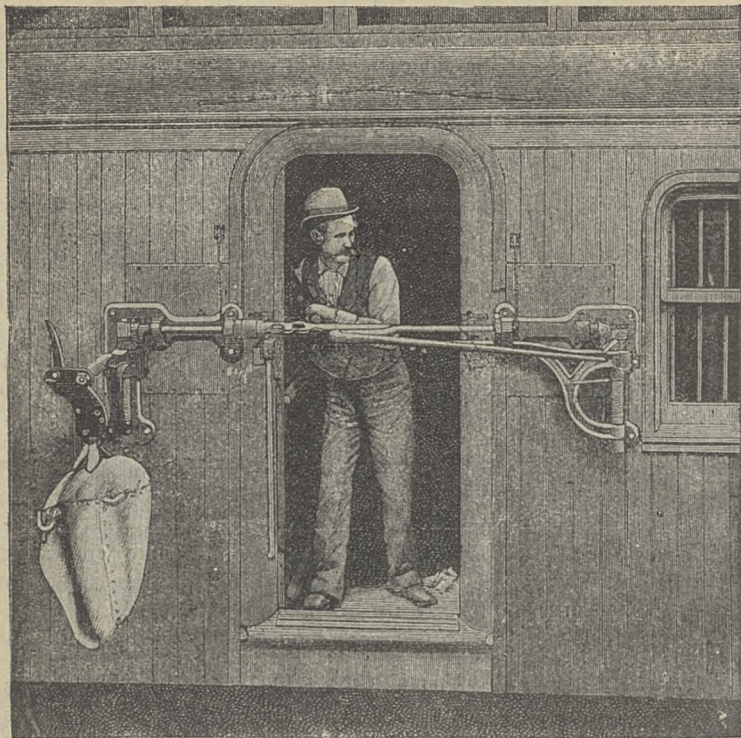
Królewicz. Pani, zasypiając, miałem na palcu kosztowny pierścień, ten, com go przed chwilą temu zbójowi odebrał. Jest to pewnie przyczyna zamachu, w którym byłbym zginął, gdyby nie ty.

Wanda. Ależ to Bajdura... Czy to możliwe żebyś się na cudze życie targnął, nawet dla klejnotu?

Drwal. Niech mnie Nieba skarzą, jeśli nie się na kogośkolwiek targnął... znalazłem pierścień na ziemi, jakim Bajdura.

Wanda. Rycerzu, ja tego drwala znam, pijak niestety, ale nie byłby zdolny popełnić morderstwa. Korzystasz z gościnności jego żony, w jego chacie mieszkasz. Proszę cię uwolnij go, napad musiał wykonać kto inny.

Królewicz. Ośwobodziłbym na prośbę twoją największego zbrodniarza (do drwala). Idź, gdzie ci się podobą, puszczam cię na prośbę tej pani. Choć ci może szubie-



Przymowanie listów w biegu pociągu (do art. Poczty).

nica sądzona, ale cię jeszcze tym razem minęła. (*drwal ucieka*).

Wanda (*z uśmiechem*). Dziękuję ci, rycerzu. Jakże się czujesz?

Królewicz. Bardzo dobrze.

Wanda (*na stronie*). Może i moje serce w tę stronę mnie ciągnęło, ale jako córka zależę od ojca, księżniczka od księcia. (*chce odejść*).

Królewicz. Życzenia moje i wszystkie pragnienia mego serca cię tu wzywały.

Wanda (*na stronie*). Może i moje serce w tę stronę mnie ciągnęło, ale jako córka zależę od ojca, księżniczka od księcia. (*chce odejść*).

Królewicz. Zostań, zostań chwilę, pozwól, że ci dzięki złożę za ratunek... Nie raczyłaś mi dotąd powiedzieć nazwiska swego?

Wanda (*na stronie*). Czemu on jest tylko błędnym rycerzem! (*głośno*). To musi pozostać tajemnicą.

Królewicz. Dla czego? Gdzie mieszkasz? mówisz, żeś błędziła... pozwól, że cię odprowadzę.

Wanda (*żywo*). Tego ci rycerzu stanowczo zabraniam, nie staraj się nic o mnie dowiedzieć... tak chcę i proszę, że gnam (*wychodzi*).

Królewicz. Już jej niema!... Pójdę za nią... Zabronił! cześć rycerska nie pozwala. O, któż jest ta tajemnicza dziewczeczka; biała jak lilia. Za cenę królestwa mego muszę ją odnaleźć. (*wychodzi*).

Chór. Dwa młode serca oto się poznały,
Oba szlachetne i czyste;
Ich dusze bratnie wnet się zrozumiały,
Dusze jak kryształ przejrzyste...
Zanim weselny zanucim śpiew,
Wiedźmy ochoczy nasz tan...
Szumi poważnie wiatr pośród drzew,
Trawy ugina się łan...

(*d. c. n.*)

DWA NOWE MOSTY.

Dwa ogromnych rozmiarów mosty stanęły w ostatnich czasach; jeden w Europie, drugi w Ameryce. Oba są zbudowane ze stali w kształcie łuku, jakby sklepienia rzuconego nad wodą. Pod Bonn połączono w ten sposób brzegi Renu trzema przesłaniami, z których środkowe mierzy 188 metrów w rozpięciu. Budowa kosztowała 4 miliony marek. W Ameryce, na Niagarze, zbudowano tuż poniżej wodospadu nowy most kolejowy, jednym łukiem 264 metrowym przerzucony od brzegu do brzegu rzeki. Pokład wierzchni ma szerokości 17 metrów. Nowy most zajął miejsce starego, również wiszącego, który przeniesiony będzie na inny punkt tejże rzeki. Ten nowy most przedstawia nasza rycina.

Niebo w kwietniu.

Dzień w tym miesiącu coraz jest dłuższy i słońce coraz wyżej i szerzej łuk zakreśla na horyzoncie, naturalnie na półkuli północnej, bo na południowej dzieje się odwrotnie. Pierwszego kwietnia wschód słońca przypada o godzinie 5 m. 37 rano, zachód o godz. 6 m. 32 wieczorem, w ostatnim zaś dniu miesiąca wschód o godz. 4 m. 33 rano, zachód o g. 7 m. 22 wieczorem, zatem długość dnia wynosi 1 kwietnia 12 godzin 55 minut, a 30-go 14 godzin 49 minut.

Pełnia księżyca przypada dnia 25 kwietnia. Z planet wielkich są widzialne najlepiej Mars do północy i Jowisz, który w tym miesiącu świeci przez całą noc, jako najjaśniejsza gwiazda na sklepieniu niebieskiem.

Około 20 kwietnia oczekiwać należy roju gwiazd spadających, zwanych Lirydami.

PRENUMERATA WYNOŚI.

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Moja piosenka, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji, przez Zofię Bukowiecką (ryc.) — Jan Niewdźd, powieść z dawnych czasów przez Z. Morawską. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Powrót Napoleona z pod Beresyny (z ryc.) — Pierścień czarodziejski przez J. Osękę. — Dwa nowe mosty (z ryc.) — Niebo w kwietniu. **Dodatek**: Nieproszeni goście (z ryc.) — Boguś i Bożenka, baśń wiosenna. — Śpiewaj dziecino, wiersz przez Franciszka Marca. — Skrzydła odwagi, przekład P. Gr. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek książkowy**: Powrócili, powieść dla dorastającej młodzieży przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

NIEPROSZENI GOŚCIE.

L I S.

Marcinowa jest bardzo szczęśliwa, ma aż sześćdziesiąt pociech, a pociechy jej są to kury i koguty. Dla innych kury nie mają nic osobliwego, ot zwyczajny szary ptaszek.

Ale Marcinowa inaczej o tem sądzi; dla niej każda kura, każdy kogut inny, jedna sztuka piękniejsza od drugiej, a każdą za co innego lubi: Czarnocha jest lubiona, bo zawsze się domu pilnuje, Czubatka dużo jajek znosi, Zabijaka, kogut, dobrze kury strzeże; ej, czy to można wszystko wyliczyć? każdy ptak ma u niej inne zalety.

To też dzień cały Marcinowa tylko o swoich kurach myśli, to je karmi, to szuka, to gniazda ściele, to kurnik czyści.

— Byle moim pociechom dobrze było!

I wszystko dobrzeby było, gdyby się nie zjawił nieproszony gość.

Raz dobrze już po północy, Marcinowa posłyszała straszliwe ujadanie psa Burka.

— Czy się aby co nie przytrafiło w kurniku? — pomyślała przerażona staruszka, nasłuchując, i rzeczywiście, kury gdaczą i krzyczą.

Zerwała się czempredzej, latarkę zapaliła i idzie. Kurnik zamknięty, a kury krzyczą, jakby je kto zabijać chciał.

— Cipuchny, cipuchny! — woła — co wam jest pociechy moje?

I chciała porachować czy są wszystkie.

A kury powlatywały na żerdzie, ani je dożyć... Na widok gospodyni, widocznie uspokajać się zaczęły, a Marcinowa postanowiła zostawić je w spokoju do jutra.

Nazajutrz skoro świt, otwiera kurnik, rozgląda się i spostrzega dół wykopany pod kurnikiem.

Domyśliła się zaraz, czyja to była robota.

— A to rozbójnik lis, dobiera się do moich pociech! to skaranie Boskie z temi drapieżnikami.

I zaczęła rachować ptactwo.

Widać, że ktoś przeszkodził lisowi, bo żadnej kury nie brakowało.

Natychmiast Marcinowa dół kamieniami przykryła, piaskiem i ziemią zasypała.

Nie długo jednak było spokojnie.

W parę dni potem wchodzi do kurnika i cóż widzi: Trzy najlepsze, najulubieńsze jej kurki leżą na ziemi nieżywe, a przy nich lis rozciągnięty. Marcinowa aż krzyknęła z rozpacz.

Lisa kopnęła nogą: — Zbrodniarz... dobrze mu tak! udławił się widać i zdechł!

Chciała go wyrzucić, ale pomyślała, może futro przyda się na co i poszła do męża po radę.

Marcin rzucił robotę i poszedł do kurnika, bo bardzo był ciekawy, dla czego lis życie zakończył poszedł więc zobaczyć.

Marcinowa idąc za mężem, wciąż płacze i lamentuje po swoich pociechach.

— Nigdy, nigdy już ich nie ujrzę! usiadła na ławce i płacze.

A Marcin tymczasem cały czerwony ze złości wychodzi z kurnika.

— Babo, czy ty masz źle w głowie? dla czego mnie zwodzisz?

— A bo co?

— Gdzież ten lis?

Lisa rzeczywiście już nie było w kurniku. Zaskoczony przez Marcinową, nie miał czasu uciekać, więc udał nieżywego, i choć go Marcinowa kopnęła nogą, nie poruszył się, a gdy został sam, umknął jak strzała.

Zmiarkowawszy to wszystko staruszka, oniemiała ze zdziwienia.

Nie sądziła, żeby zwierzę było takie przebiegłe.

Od tego czasu Marcinowa już nie miała spokoju.

— Skoro raz mu się udało, będzie mnie tu codzień nawiedzał, ten gość! — myślała.

Postanowiła wreszcie uprosić męża, żeby upolował tego szkodnika.



Marcin był myśliwym nielada, nie kazał się długo prosić, zabrał pewnego razu swego psa jamnika i wyruszył z domu na polowanie. Długo chodził i dopiero na obiad wrócił, niosąc na plecach nieżywego lisa.

Marcinowa nie posiadała się z radości, zaczęła wypytywać, jak i gdzie go upolował? czy mu jamnik dopomógł norę znaleźć? czy na polu spotkał?

Ale Marcin był bardzo zmęczony, nie miał ochoty rozmawiać.

— Co ci tam stara do tego; masz go zabitego, a jak kiedy będę miał dużo czasu, to ci opowiem dzisiejsze polowanie.

Marya Weryho.

BOGUŚ I BOŻENKA.

BAŚŃ WIOSENNA.

Zima była w owym roku dziwnie ostra i długa, — stara babunia Bogusia i Bożenki mówiła, że jeszcze nigdy takiej nie było, a ona przecież dużo, dużo rzeczy przeżyła na świecie. W chatce pod lasem wiatr świszczał w kominie, a Boguś i Bożenka tulili się do siebie. Przykrzyła się dzieciom ta długa, sroga zima; żał im było także szarych zajęczków, co marzły w lesie i wróbelków, które smutnym głosem świergotały, jak gdyby wołały: chłodno nam, głodno nam!

Bożenka wysypywała im codziennie trochę okruszyn przed chatę, ale sama miała bardzo małe zapasy, a tu babunia już wszystek len wyprędkła, nie było więc co sprzedawać, ani za co robić nowych zakupów.

Najgorsze zaś to, że w małej obórcie, w której stała łaciasta krówka, karmicielka całej rodziny, siana ubywało z dniem każdym, krówka dawała dużo mleka, ale też za to jadła ogromnie, a gdy jej którego dnia mniej jeść dano, ryczała tak żałośnie, że Bożenka nie miała serca skąpić jej garstki paszy.

Tymczasem mijały dnie, tygodnie, a upragnionej wiosny nie widać.

Nareszcie dnia pewnego Bożenka ze łzami w oczach zwierzyła się Bogusiowi, że już ostatnią wiązkę siana rzuciła Krasuli do żłobu.

Boguś zafrasował się także okrutnie tą nowiną, ale pomyślawszy chwilę, powiedział:

— Niema co, pójdziemy do dobrych ludzi prosić, żeby nam pożyczili trochę siana do wiosny. Słyszałem, że tam na prawo za lasem jest wieś, w której ludzie chowają dużo koni i bydła, oni nas może wspomogą w naszej biedzie.

Jak rzekli, tak zrobili; nazajutrz, ledwie dniało, gdy oni, wzięwszy z sobą na drogę po kawałku chleba, wyszli do lasu. Las był caluteńki biały, osypany świeżym śniegiem, a ile razy wiatr zawiał, podnosił z ziemi biały tułman, który zasypywał przed nimi ślad leśnej ścieżki.

Idą, idą; a tu końca lasu ani widać.

Nagle bezlistne gałęzie zaszemrały głośnie, jakies niby westchnienie, niby jęk przeleciał po lesie, a Bożenką aż dreszcz wstrząsnął, niewiadomo, z zimna czy ze strachu. Przytuliła się mocniej do Bogusia, szepcząc:

— Bogusiu, ja się boję; tu ktoś jest w tym lesie.

— Nic się nie bój, ja cię przed każdym złem obronię, odparł odważnie Boguś, i trzymając mocno rękę Bożenki, zaczął rozpatrywać się po lesie, zaglądając pomiędzy drzewa, nad słuchując z której strony płynie ten cichy, skarzający się głos. Długo nic zbadać nie mógł, aż nareszcie zobaczył przytuloną do pnia starej, spróchniałej sosny starowinę jakąś, taką wątłą a taką osypaną śniegiem, że ledwie w niej poznał ludzką postać; obiema rękami obejmowała pień sosny i tuliła się do niego; głowę całą okrytą miała srebrnym szronem, na pomarszczonych policzkach duże łzy zastygły w brylantowe krople lodu i gdyby nie jasne, pełne jakiegoś gwiazdzistego blasku oczy, niktby jej pewnie nie wziął za istotę żywą.

— Co pani jest? czy możemy w czym pomódz? — zapytał grzecznie Boguś.

— Oj, źle mi bardzo, dzieci moje — jęknęła starowina. — Stare kości radeby do chaty na spoczynek; nie chodzić mi już dłużej po świecie, bo i mnie z tem ciężko, i ludziom ciężko i zwierzętom i ptaszkom; nawet mi te drzewa w lesie nie rade i córka w chacie czeka, pilno jej wyrzecz na świat — a cóż ja zrobię, kiedy mnie taka niemoc ogarnęła, że ani kroku dalej postąpić nie mogę!

(d. n.)

Śpiewaj, dziecińo!

O śpiewaj, dziecińo,
Piosenkę o wiosnie,
Gdy chwile twe płyną,
Wesoło — radośnie.

W ogrodzie, na łące,
Gdzie rzucisz spojrzenie,
Masz kwiaty pachnące,
Masz słońca promienie!

Świat piękny, uroczy,
Barw tyle i woni...

Nic serca nie mroczy,

Więc piosenka niech dzwoni,

Oj, śpiewaj, kochanie,

Z ptaszkami w zawody,

Co piersi ci stanie...

Boś szczęśliw, boś młody!

Niech echo rozniesie

Głos piersi twojej, dziecię,

Po górach, po lesie:

Hej, wiosna — hej, życie!

I pola i drzewa,

I strumyk i kwiatek,

I ptaszek co śpiewa,

To rozkosz dla dzieci.

Na niebios błękiecie

Wieczorem i nocą,

Dla ciebie, me dziecię,

Gwiazdeczki migocą.

Wiec śpiewaj, dziecińo,

Czy wieczór, czy z rana —

Twe pieśni popłyną,

W błękity do Pana!

Franciszek Marzec.

SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

Chciał bez straty czasu zamiar swój wykonać, gdy naraz z przerażeniem ujrzał przed sobą rozciągniętego na trawie swego prześladowcę. Spał jednym okiem tylko, a drugim śledził każde jego poruszenie. Dalej trochę osiel pał się swobodnie. Marcinek, choć mu serce silnie kołotało w piersiach, nasłuchiwał uważnie; zdało mu się jakby słyszał krakanie kruka nad głową. Podniósł się powtórnie i spostrzegł z radością, że krawiec mimo otwartego oka chrapał na dobre. Miał zwyczaj nie przysmykać tej powieki, ale spał twardo, znużony upałem i drogą.

Marcinek cicho na kolanach przyczołgał się do niego, spoglądając z natężeniem w roztwartą przykro źrenicę. Pociągnął nad nią lekko ręką, powieka nie drgnęła; szkaradne to oko nic nie widziało. Chłopiec pelzając ciągle jak wąż, przesunął się bez szmeru z jednej rozpadliny w drugą, środkiem której ciągnęła się wydeptana ścieżka. Tu, dla szybszego biegu zrzucił z nóg zniszczone obuwie, minął uczęszczaną dróżkę i zapuściwszy się w trawę i zarośla, zaczął uciekać z chyżością młodego zajączka.

Biegł prędko w ten sposób dość długo, potem zważywszy, że mógłby się zdradzić poruszeniami trawy, osłaniającej jego ucieczkę, stanął w miejscu i przyczał się w gąszczu, przytłumiając oddech w piersi dla większej ostrożności.

Powiodło mu się szczęśliwie; krawiec wypocząwszy, spostrzegł po przebudzeniu nieobecność chłopca; odnalazł nawet porzucone dziurawe buciki, ale nie podnosząc ich z ziemi, szedł śladem bosych nóżek. Po pewnym czasie jednak zawrócił, uśmiechnął się złośliwie i podążył w dalszą drogę do miasta, gdzie zamierzał nocować.

— Głupi dzieciak — mówił do siebie półgłosem — pobiegł w przeciwnym kierunku, myśląc, że odnalazł drogę do domu. Dogonię go niebawem.

I szedł dalej, popędzając przed sobą osła, stawiał olbrzymie kroki, nogi jego i ręce poruszały się szybko jak skrzydła wiatraka, dzięki jednak przytomności umysłu małego Marcinka, z każdym krokiem krawca powiększała się dzieląca ich przestrzeń.

II.

Noc już zapadła, kiedy Marcinek odważył się wyjść ze swej kryjówki.

Powietrze było łagodne i ciche. Chłopiec nadstawał niespokojnie ucha, zdawało mu się co chwila, że słyszy ciężkie kroki krawca. Były to uderzenia bałwanów morskich o wybrzeża, ale Marcinek nie umiał sobie wytłumaczyć zagadkowego szmeru.

Z zarośli, w których się ukrywał, wychyliwszy głowę, widział szereg pagórków nadbrzeżnych, a dalej morze.

Ponieważ jednak chłopiec nie miał o niem wyobrażenia, nie odróżniał więc w nocy wody morskiej od błękitu nieba i zdziwił się, widząc światelka, migające w gó-

rze i na dole. W górze były to gwiazdy a w dole odbicie ich na powierzchni morskiej.

— Muszę przespać się trochę — rzekł do siebie — a jutro gdy się rozwidni, zapytam ludzi o drogę do domu i wrócę do mojej kochanej mamy, która tam może zachorowała z żalu po mnie.

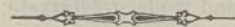
Na wspomnienie matki gorzko zapłakał, pocieszał się jednak, że ją nazajutrz zobaczy zdrową i uradowaną z jego powrotu.

Chciał się przespać, ale najpierw pragnął znaleźć miejsce zupełnie bezpieczne z obawy przed majstrem, który, jak sądził, będzie go ciągle ścigał.

Zaczął więc ostrożnie spuszczać się ze wzgórza, ale grunt był nierówny, potykał się często i musiał iść wolno i uważnie.

Obawa i smutek ogarnęły biednego chłopczykę i przyszło mu na myśl, jak kiedyś wuj marynarz mówił w jego obecności o dobrych duchach morza, które ludzi biorą w opiekę. Gdyby one istniały naprawdę i chciały się nim zaopiekować!

(d. c. n.)



SZARADA.

Konwalia leśna dla B. Orła.

Gdy druga, trzecia i gruba i mocna,
Przeciw napaści bardzo jest pomocna;
Lecz do cenzury, gdy uczniom się wkradnie,
To mówię szczerze, wcale nie jest ładnie!
Byście nie znali znaczenia pierwszego
Nie sądzę wcale, bo nic to trudnego
Poznać przyimek, co jak wiecie sami,
Sam jeden rządzi dwoma przypadkami.
Gdy do nauki pierwsze drugie macie
Na egzaminie wstydu nie doznacie.
Wszystko choć mało często pożar nieci,
Więc z nią ostrożnie zawsze bądźcie dzieci.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Krzywdzie.

Z następujących sylab: bruck—cie—ce—jes—inus—ko—li—mel—me—na—se—szyn—wno:

ułożyć 6 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożyć powinny imiona bohatera i bohaterki z trylogii Sienkiewicza. Znaczenie wyrazów: 1) Miasto n. Niemnem. 2) Miasto pruskie n. zat. Kurońską. 3) Bóstwo pogańskie u Słowian. 4) Miasto na Szląsku. 5) Miasto w Tyrolu. 6) Imię żeńskie.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Ułożył Barani kożuszek.

1. Spółgłoska.
2. Lód pływający.
3. Miasto nad Wełtawą.
4. Imię męskie.
5.
6. W star. kraj w Palestynie.
- 7) Zwierzę ssące z rodz. wiewiórek.
- 8) Rzeka w Rosji.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery złożyć mają nazwisko niezującego pols. poety.

*Konwalia
mama
jeszcze
cierpim
znowu
ellin*

Szarady: Szyn — ka.

Łamigłówki w trójkacie:

K o m o r o w s k i
 O ł o m u n i e c
 M e d y o l a n
 O l s z t y n
 R a g u z a
 O j c ó w
 W o s k
 S a n
 K a
 I

Niteczki Aryadny:

I nie wiem, co milsze nad ludzkie wejrzenie,
 Co czystsze nad wodę przejrzystą;
 Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie,
 Co droższe nad chatę ojczystą.

Skrzynka do listów.

Konstantemu G. Książki wysyłamy. Siostry i braci naszych prenumeratorów stawiamy na równi i dopuszczamy do wszelkich konkursów.

Walentemu S. posyłamy brakujące i zapewne zaginione na pocztę numera. Dziękujemy **Irence, Belli, Neli, Stasiowi i Lucio- wi** za pamięć i nawzajem pozdrawiamy serdecznie.

M. K. z Suwałk złożyła rubli 3 na Kolonie letnie.

Maniusi N. należy się szczerza podzięka za 10 tysięcy marek nadzwyczaj starannie dobranych i porządnie ułożonych, jak również za dwa zeszyty ślicznie wyklejone przeróżnymi obrazkami. Marki odesłamy towarzystwu, które specjalnie zajmuje się zbieraniem ich i posyła je Missyom Katolickim do Kongo. Zeszytami obrazkowymi urządzamy chore dziatki w Szpitaliku Dziecięcym.

Amatorowi ptaków i Ludwisiowi Ch., za życzenia dziękujemy, a przysłane zadania przejrzymy i osądzimy.

Dobre rozwiązania zagadek z Nr. 12 nadesłali: **Ciupurny Kogucik** z nad Newy i **Córa Mazurów**, ta ostatnia dołączyła logogryf własnego układu.

I znów, skutkiem wielu bardzo otrzymanych listów, spóźniłam się z odpowiedzią dla **Wiochny z pod Opoczna**, ale choć trochę później, niemniej za to serdecznie dziękuję ci za tak przyjemny i zajmujący liścik. Pismo twoje bardzo mi się podoba, ale wierszyka przepisane na konkurs kaligrafii nie czytałam dotychczas, bo z Redakcyi oddają mi tylko listy, a próby kaligraficzne składają razem oddzielnie. Z braci szkiem musiałas się widzieć podczas wakacji świątecznych i spodziewam się, że mi opiesz w jednym z ciekawych twych listów, jak ci przeszły święta.

Od **Litwinek z P.** rubli 3 na Kolonie letnie otrzymaliśmy i wręczyli zarządowi Kolonii. Jako całorocznym prenumeratorem, przysługuje wam bezwzględnie prawo wyboru premium, prosimy tylko o wymienienie tytułu książki, dokładny adres i nazwisko. Korespondencja z wami nie jest utrudniająca, przeciwnie do rzędu przyjmności ją zaliczam.

Widzę z twego listu **Orle Czuby**, że matematykę i łacinę z zamilowaniem uprawiasz. A po wyborze pseudonimu sądzę, że musisz być dzielny chłopcem, co się też odczuwać daje ze sposobu pisania. Logogryf przejrzymy. Na wszystkie listy odpisuję, twoje musiały chyba zaginać, jeżeli pozostały bez odpowiedzi.

Złota Iskierka i Srebrna Chmurka nie piszą mi, z jakiego powodu zmieniły poprzednie pseudonimy? Za serdeczne wyrazy dziękuję wam bardzo; z poprawy zdrowia **Złotej Iskierki** jestem szczerze uradowana, mam nadzieję, że coraz będzie lepiej. Donieście mi, proszę, czy jesteście rodzonemi siostrami, czy też kuzynkami, bo dotąd nie wiem o tem dokładnie.

Nie ja jedna decyduję o nagrodach konkursowych, więc choć **Dzidi B.** z Charkowa tak grzecznie prosi mnie o poparcie, nagrody obiecywać zawczasu nie mogę. Sądzę jednak, że kto pisze tak porządnie, spodziewać się jej może.

Czarnej Jagódce dziękuję serdecznie za przysłane życzenia i miłe słowa listu, odnoszące się do mnie osobiście i do **Wieczorów**. Prenumerata na prowincyi i za granicą wynosi zawsze 1 rub. 25 kop. kwartalnie, odległość mniejsza lub większa od Warszawy nie wpływa na podniesienie, lub zmniejszenie opłaty pocztowej.

Bardzo się cieszę z zawarcia nowej i sądząc z pierwszego listu, bardzo miłej znajomości z **Azyatką**, odzywającą się do mnie z dalekiego Taszkentu. Nazwisko twoje nie jest mi obce, bo znam w pow. Nowogródzkim starego pana A., który może jest twoim krewnym? Przypominam ci daną na wstępie obietnicę, że postaram się wynagrodzić czas stracony i często do mnie pisywać będziesz.

Nie posądzaj mnie nigdy o zapomnienie **Kurko z Polesia**, bo nie zapominam tak łatwo miłych korespondentów. A chociaż czasami zadziwioną jestem długim milczeniem, rozumiem jednak, że mając czas zajęty nauką, trudno czasem o wolną chwilkę do napisania listu. Wskazówki jak hodować kwiaty pokojowe, znajdziesz w artykułach **Ed. Jankowskiego**, które **Wieczory** drukowały w tym roku. Jak specjalnie obchodzić się z palmą daktylową, odpowiem ci później. A teraz małe pytanie, czy list twój drugi, podpisany **Sierotka uwieziona**, mam uważać jako prima-aprilis, czy jako wypracowanie stylowe? Jeżeli jako pierwsze, to poniekąd dopięłaś celu, bo po przeczytaniu uwierzyłam, prędko jednak poznałam charakter twego pisma. Jeżeli zaś przysłałaś wypracowanie, to zasługujesz na pochwałę, bo dobrze i zajmująco napisałaś, dla czego jednak wybrałaś temat tak smutny?

Żywilo! czy ty żartujesz, czy naprawdę masz o sobie takie niesłuszne mniemanie? Ależ twoje listy, droga moja (mówię zupełnie prawdziwie) do bardzo miłych i dobrze pisanych zaliczają, a na ostatnim ślicznie wykonany rysunek nie tylko mnie, ale jeszcze kilku osobom w naszej redakcyi bardzo się podobał. Nie wyobrażaj sobie, że ja jestem jakąś idealną osobą, zwykła ze mnie istota, tylko życzliwa i przyjazna wam szczerze. Żadnej z moich korespondentek nie znam osobiście, ale imiona ich i nazwiska po większej części nie są mi obce.

Filutce i Chochlikowi Leśnemu bardzo pochwalam, że lubią się uczyć, a próby ich pisma wkrótce już sądzić będziemy.

Bardzo się cieszę z postanowienia **Polnej Różyckiej** i jej siostrzyczki **Leśnego Fiołka**, które mi obiecują stałą korespondencję, dłuższych ich liścików z niecierpliwością oczekiwać będę. Za życzenia świąteczne bardzo wam dziękuję. Arytmogryfy waszego układu złożyłam w Redakcyi.

Lilijka z nad Świsłoczy posłuchała mej rady i bardzo mnie ten ucieszyła. Premium możesz sobie wybrać, wypisz tylko tytuł i adres, a zaraz ci je wyślem.

Zosi J. z Popówki. Rozwiązanie zagadki, której nie mogłaś odgadnąć masz już w **Wieczorach**. Niestety, chociaż bardzo lubię muzykę, sama nie grywam. Imienia mego zdradzić nie mogę. Listy twoje nigdy mnie nie nudzą.

Jaskółka.